



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 374

leg. 174

DR. BERTOLD MERWIN

Z DULFALVY NAD TAGLIAMENTO

Z PAMIĘTNIKA OFICERA
LEGIONÓW POLSKICH

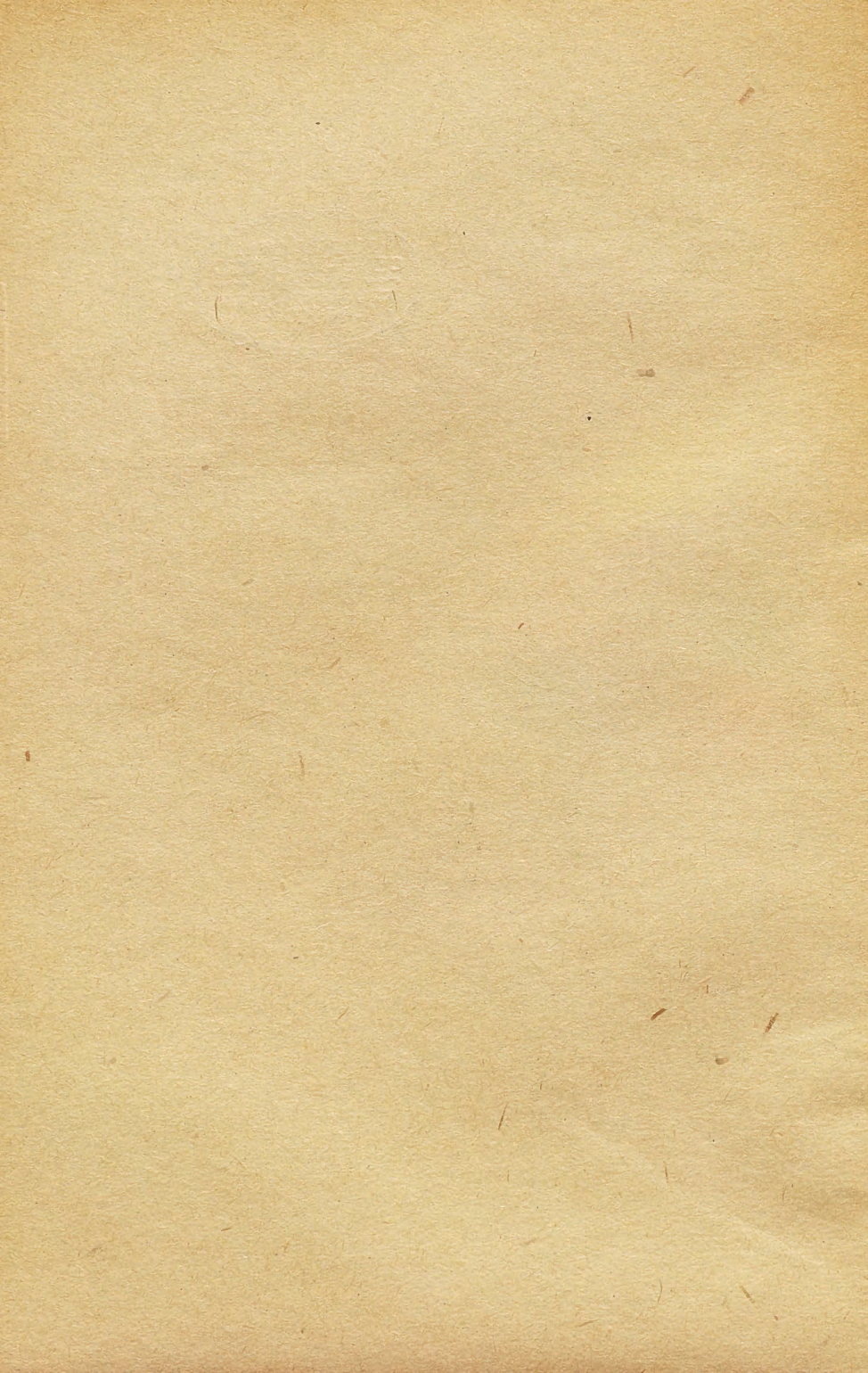
17. II. 1918 — 23. IV. 1918

K R A K Ó W — 1 9 1 8

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW

N. K. N.





Z DULFALVY NAD
TAGLIAMENTO



374

kg. 174

DR. BERTOLD MERWIN

Z DULFALVY NAD TAGLIAMENTO

Z PAMIĘTNIKA OFICERA
LEGIONÓW POLSKICH

17. II. 1918 — 23. IV. 1918

K R A K Ó W — 1 9 1 8

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW

N. K. N.

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

Bolechów, 17 lutego 1918.

Przeszli.

Co wczoraj jeszcze było wieścią, dziś stało się niemal pewnością.

Druga Brygada opuściła terytoryum austriackie... Wczoraj stugębna fama wieść tę po obozie naszym rozniosła. I z miejsca zelektryzowała umysły; serca poczęły goręcej bić.

Na zewnątrz zajęcia dzienne idą zwykłym trybem; lecz wewnątrz wrze i kotłuje... Ludzie nagle spoważnieli i rysy twarzy stały się ostrzejsze...

Od kilku dni, od chwili ujawnienia szczegółów układu w Brześciu Litewskim, temperatura się podniosła; jakiś duszny, ciężki nastrój zawisł nad ludźmi... Starszyzna nasza, widać, przytłoczona klęską; w duszach ważą się zasadnicze namysły; przewrót dokonuje się najpierw wewnątrz człowieka, zanim sobie utoruje drogę i wyładowuje się w jakiejś formie na zewnątrz.

Ostatnią noc spędziłem bezsennie. Długo, długo jeszcze po północy mówiliśmy na kwaterze. Zeszło

się nas kilku z II. Brygady. Kilku, co i w Karpatach byli i Pantyr i Przysłop przeszeli, i na pograniczu be-sarabskiem stali. Tam właśnie, gdzie II. Brygada strzegła bramy wpadowej u południowego cypla frontu wschod-niego, gdzie chwałą Zadobrówki i Witelówki i Ra-rańczy i Rokitny się okryła — tam, gdzie obecnie przeszła...

Jakiż to znamieny spłot wypadków! W r. 1915 nasza Brygada stanowi na tej połaci kraju rygiel za-sunięty przed nieprzyjacielem; tam 11. czerwca bierze 1000 jeńca, tam 13 czerwca okrywa się splendorem szarży pod Rokitną; tam 17 czerwca wypadem Janu-szajtisa zagarnia 1500 jeńca, tam dnia tego przetrzy-muje 7 ataków gęsto skłębionych fal nieprzyjaciel-skich, tam wreszcie po późną jesień 1915 r. stanowi spiżowy wał, o który rozpryskują się każdorazowe za-kusy wroga.

I to właśnie miejsce, uświęcone grobami Wąso-wicza i towarzyszy, staje się znów miejscem heroicz-nego wysiłku, postawienia wszystkiego na szali — jak wówczas, gdy hufiec ułański życie swe postawił na szali...

Do późna, późna w noc głośno myślimy na kwa-terze. Że też człowiek, od wywagonowania pod Mara-maros-Sziget po odtransportowanie z Baranowicz do Królestwa, dzieląc losy II. Brygady — teraz zdala...

I jeno duchem bliski... I jeno głęboko zatroskany a dumą przejęty zarazem...

Dziś zewsząd słyszę, że koledzy ostatnią noc wszędy spędzili podobnie. Wszędy po kilku, odczuwało się potrzebę rozmówienia się. Psychicznie nikt nie wytrzymałby sam... w takiej chwili... Pociąg gromadzki budzi się...

Każdy czuje: coś stać się musi. Musi! I bo Brześć zaszedł i bo Brygada przeszła.

Lecz co się ma stać?

Różne myśli nurtują i różne pomysły się ujawniają. Zależnie od temperamentu i — szczeroci przyznawania się. W niektórych dysproporcya między zamierzeniem a możliwością wykonania jest olbrzymia. Tak, tak! Wszyscy chcielibyśmy tam być! Ale... Skrzydła ptaka! Luty, śniegi, mróz, brak prowiantów. Między nami a II. Brygadą 250 km...

A do Polski? Granica Galicyi od północy również setki kilometrów oddalona.

Tembardziej, że wprowadzie chłop strzela a Pan Bóg kule nosi, lecz do stwierdzenia tego przysłowia w praktyce trzeba przedewszystkiem jednej rzeczy: kul. A tych niema...

Są wśród nas bardzo młodzi. Najszczęśliwsi! Bo dla tych ważenie sił i zamiarów nie istnieje — i ci mają złudy. Acz krótkotrwałe — lecz zawsze pomagające chwilowo.

Są i starsi, w których wzburzenie wewnętrzne, podniecenie, przestawia widok na rzeczywistość. Ból i żal — te uczucia, które w każdym wzmógł układ brzeski; potrzeba wyładowania energii, temperamentu, ten pierwszy odruch każdego skrzywdzonego, który zaciska pięści i inoby szedł, parł, naciskał — oto przekrój stanu duchowego.

Lecz są — na szczęście — rozważni. Nie tacy, co tłumik nakładają, lecz tacy, co płomień skierowują tam, gdzie gorzeć winien, a nie tam, gdzie własny organizm spopiela.

Zebrało się nas kilkunastu. I sprowadzono zamysły i dążności do wspólnego mianownika.

Musi się stać, więc niechby się stało mądrze, z pożytkiem dla Sprawy.

Po obiedzie cały korpus oficerski zbiera się w mezaży. Każdy czuje: oto twój los się decyduje. Kończy się okres życia, zapoczątkowany przed 3 i pół laty wdzieniem szarego munduru legionowego, a poczyną nowy, przesłonięty chmurami, z poza których dolatują echa grzmotów... Czyżby to salwy z pod Łużan?...

Pułkownik odczytuje naszą deklarację.

Deklarujemy solidarność z całym narodem, który nie uznał 4-go rozbioru Polski, i z postępkiem oddziałów frontowych Legionów.

Kto za tą deklaracją?

Oko bieży po sali, postaciach, wyciągniętych w górę rękach.

— Wszyscy !

I rozeszliśmy się do kwater, zajęć. Stało się. Padło jeno słowo, a starczyło za czyn. Tamci, na froncie, nic nie mówili, ino poszli. My, przedzieleni setkami kilometrów, musieliśmy ten sam czyn zawrzeć w formę słowa.

Musieliśmy ! Pamiętnik ten byłby nieszczerzy, gdybym pominął pewne odruchy serca i umysłu, które się przejawily. Więc i refleksyjność.

Czy tamci musieli ? Pytało niejednego z nas sumienie. Czy była to jedyna droga ?

Trzeba te pytania, te odruchy refleksyi, trzeba każdą wątpliwość dziś zdławić. Krytycyzm nie pomoże. Trzeba użyć banalnego słowa : historia osądzi...

Stało się i nam pozostały jeno konsekwencye. A te są jasne : niema II. Brygady — niema Uzupelnień. To formalna strona. A zasadnicza : byliśmy ochotniczą formacją, powstałą dla wywalczenia pełni praw i terytoryalnego rozwoju Polski. Zasadę tę obalili ci, z którymi ręka w rękę przez całą wojnę szliśmy — więc i podstawę naszej egzystencji wyważyli, obalili. Czyż nasze istnienie choćby przez chwilę możliwe, gdy Czernin podpisał układ w Brześciu, okrywający Polskę ?

Nam pozostały konsekwencye 2 faktów : układu

brzeskiego i wypadków dultwiańskich. Czernin i Haller mieli inicjatywę — my konsekwency

Lecz te są jasne i niema w nich wahnień.

Toteż wszystkie wątpliwości zniknąć muszą. W przełomowej chwili musimy być jednolici, zwarci. W tem poczuciu opuściliśmy zebranie oficerskie.

18 lutego 1918.

Wczesnym rankiem nas zagarnięto. Stało się to z dziwną szybkością i precyzją. Uchwaliliśmy na zebraniu oficerskiem, że pułkownik naszą deklarację nazajutrz w drodze służbowej przedłoży generałowi-inspektorowi formacyi marszowych, urzędującemu w Dolinie.

Ledwo świt wybrał się pułkownik końmi do Doliny. Lecz po drodze zawrócono go. Już wzdłuż gościńca i toru kolejowego rozsypaną była tyraliera austriackich batalionów; Bolechów i okolica były szczelnie zamknięte gęstym kordonem wojsk.

20.000 żołnierza — jak się dowiedzieliśmy z ust autorytatywnych, posłano, by nas zagarnąć. Późną nocą, w Dolinie, byłem świadkiem sceny: przeciągał oddział austriacki; wtem z mroków wyłania się kobieta i rzuca się w ramiona oficera, kroczącego na czele oddziału, ze słowami: Chwała Bogu! Żyjesz! Nie zamordowali Cię legioniści! I zanosila się od płaczu — radości...

Bolechów rankiem miał ponury wygląd. Gęste patrole z najeżonymi bagnetami sunęły po ulicach, na rynku ustawiła kompania karabiny maszynowe, na salinach poważny oddział wojsk, u wylotów miasta obozujące oddziały w pełnym rynsztunku.

Co kilka chwil auto szalonym pędem mknie po gościńcu; w gorączkowym pośpiechu idą gościńcem oficerowie austriacy, wszyscy uzbrojeni łaadowanymi rewolwerami.

Cóż za dysproporcja między temi bitewnymi przygotowaniem a skamieniałością naszej postawy.

Kiepskimi psychologami byli ci, którzy tych 20.000 ludzi, mających nas zagarnąć, postavili w pełnej zbroi.

Przed zapadnięciem decyzji naszej różnie się działo w duszach i sercach, i różne szły pomysły, myśli zachcenia. Ale teraz! Po uchwale, po ujednoliceniu postępowania, po przemyśleniu sprawy!

Teraz wszyscyśmy jednacy, twardzi lecz spokojni, w sobie zawarci, a nie do zwady gotowi.

Tylko mali ludzie w tak decydujących chwilach są kłótniwi i wrzaskliwi.

Wkrótce zdziwienie ogarnia tych, których posłano, by nas zagarnęli i eskortowali.

Już po śniadaniu dowiadujemy się, że w południe mają nasi żołnierze złożyć broń, a wszyscy mamy odmaszerować do Doliny. Jesteśmy aresztowani — jesteśmy jeńcami wojennymi.

Fakt acz spodziewany, jedynie możliwie — jednak silnie działający. Przejście z pełni swobód i praw do kompletnej utraty swobody poruszania się, choćby nawet było następstwem najszczytniejszej ideowości — zawsze ból niemal osobisty sprawia. Chwila skrzyżowania się wyrozumowania z nagą, brutalną rzeczywistością — jest straszną.

Ten feldwebel tam, któregoś wczoraj na ulicy ani spostrzegł lub mu się mechanicznie odklaniał — dziś jest jakąś siłą, której zostałeś podporządkowany. List, który piszesz do rodziny, przejdzie alembik urzędowy, argusowe oczy wypatrywać będą między wierszami i słowami jakichś niedomówień, wietrzyć za zdradą, knowaniem...

Po raz ostatni zbieramy się w menaży oficerskiej na obiad. Prędko każdy stara się uporać z jadłem, bo trzeba kuferek przygotować do wymarszu, wydać w oddziałach i instytucjach ostatnie dyspozycje, pożegnać się z gospodarstwem, u którego się kwatrowało i — schować broń osobistą...

Większość u nas tak zrobiła. Wojna XX. stulecia zmieniła zasadniczo pojęcie wartości broni osobistej oficera. Z wyjątkiem rewolweru reszta rynsztunku stała się symbolem godności i stanu. W polu miesiącami szabli własnej się nie widziało. Leżała gdzieś na wozie w taborze.

A jednak rozstanie się z szabłą — straszne. Wi-

działem oficerów, twardych, zgoła nie sentymentalnych, którym oczy się załzawiły, gdy przyszło rozstawać się z szablą... Kto ino mógł, głęboko w piwnice lub strychy pochował swą broń. W kilka dni potem miano ją nam — każdy o tem wiedział — oficjalnie, rewizyą, odebrać... Lepiej więc dziś ukryć, by kiedyś, gdy ścichną fale i wróci się w dom, choćby symbol uczestnictwa w Wielkiej Wojnie — broń, mieć u siebie.

Bezpośrednio po południu oddziały przeciągać porczynają przez miasto i ściągać na obszernej tłóce opodal dworca kolejowego. Po raz ostatni w ordynku bojowym z bronią na ramieniu i u boku... Śpiewając suną wśród tłumów nasze oddziały. Dudnią po bruku przytupują tę bezbrzeżną rozpacz, która jest w sercach, gdy się idzie gromadą na — złożenie broni... Coraz głośniej, huczniej, krzykliwiej brzmia śpiewy, jakby mózg dyktował gardzieli i strunom głosowym, by przygłuszały bicie serca i tłumiły te natrętnie wracające i krążące myśli...

Wszystko, co w miasteczku czuje po polsku, ciągnie z żołnierzami naszymi. Głęboka rzewność maluje się na twarzach. Bo oto dokonuje się tragedia: kwiat młodzieży składa broń... Ci, co w Karpatach strażowali i na Dzikich Polach i na Wołyńskich szlakach — ci teraz, po 3 i pół letniej wojence, broń składają... Bo tu i honor i sumienie nie dozwala nosić tej broni

bez przekonania w rzetelność zamiarów tych, którzy broń tę dali, którzy są jej właścicielami.

Więc wraca do właścicieli... Podle oddrzwii magazynu fasunkowego piętrzy się sterta karabinów. Żołnierz po żołnierzu przystawa koło sterty i ciska w nią swój oręż... I ani skry ani łzy ze sterty nie idą — jeno głuchy trzask żelaziw...

A potem wszyscy stają w ordynku na obszernej tłoce. Śniegi już zeszyły, zrudziałe kępki zielska wysterczają z grzęzkiego błota, pokrywającego tłokę. W dwurząd ustawieni stoją żołnierze, przed każdym oddziałem oficerowie. Na koniu przed frontem pułkownik i starszyzna.

Po raz pierwszy od 3 i pół lat na widok zbliżającego się komendanta nie wydaje najstarszy rangą. oficer rozkazu: „Prezentuj broń!” Bo tej broni niema.. Jest tam opodal...

Lecz wszystko się pręży i na baczność staje. Broni u boku niema, lecz serca są opancerzone i twarde jak stal.

Kilka słów pada, kilka mocnych słów — a potem z tłoki ulatuje w przestwór pieśń. Rota... Nie damy ziemi... Tak nam dopomóż Bóg...

Każdy kurczowo mnie czapkę w dłoni — z ust buchają słowa — byle jaknajgłośniej, byle zdławić krzyk buntu i opanować coś, co za gardło ściska...

Kolumna szykuje się w pochód. Wąż obramiony



Kap. Dr. Roman Górecki.

jest jeżącymi się bagnetami: to eskorta nasza. Stanęli gęsto po obu stronach szeregów naszych, okolili nas zupełnie...

Z tłoki suniemy na gościniec. W tem —

...Gościńcem maszeruje oddział, który przybył, by nas rozbroić. Maszeruje — defilując... To żołnierz składa hołd żołnierzowi...

Przysłano Kroatów — i ci przed pułkownikiem i nami... defilują! Prężą się wszyscy, postawa jak przy składaniu honorów wojskowych, twarz zwrócona ku pułkownikowi. Nagle zaczynają śpiewać. Swą kroacką pieśń narodową. I tu się dusze znalazły: eskortujący i eskortowani — każdy śpiewa swą narodową pieśń... Zacierają się różnice, zacierają zwady — krzyżują się w powietrzu pienia, i łączą hen pod stropem...

Wśród tej dziwnej, przejmującej manifestacji wyszliśmy z Bolechowa — —

Gościniec obstawiony mrowiem ludzkim. Całe miasto, okolica — wszyscy. Płaczą, wyciągają ręce, powiewają chustkami. Cześć! — cześć! wołają.

Nareszcie jesteśmy na szczerem polu. Nareszcie! Bo już nerwy nie zdzierżyłyby dłuższemu napięciu. Trzeba po tylu wrażeniach być sam ze sobą. Więc jakieś głucho milczenie, ciężkie milczenie pokryło kolumnę, wijącą się wzdłuż gościńca. Ino słyszeć przytup butów, dudnienie miarowego kroku... I tak w milczeniu idziemy w stronę doliny. Kilkanaście kilometrów. Mgły

wieczorne się wznoszą — ciemność otula wijącego się węża. I bagnety eskorty gdzieś w czerności się zapodzwiewają. Ino mróz tężeje i głucha tępota ogarnia duszę. Reakcja na rozhuśtane nerwy; dziwne zmęczenie. Szło się czasem dłużej i dalej — i nie odczuwało w kościach tej ociążałości, jaka dziś się rozpiera po ciele. Tak, tak, organizm psychiczny reaguje; rozpręża się mechanizm duchowy, który w ostatnich dniach tak był napięty! I nagle się to odbija na ciele.

Wreszcie, wreszcie, światełka. Dolina. Miasto spowite w ciemność; ino błyskają światełka wzdłuż toru kolejowego.

Tam nas wiodą. Opodał z ciemności wyłaniają, się drewniane baraki. To nowe nasze locum. Dobrze! dobrze! Byłe ino legnąć i zasnąć, zapomnieć, nie widzieć, nie czuć i nie — myśleć.

Rzuciłem się na pryczę —

Dolina, 19 lutego 1918.

Rozglądamy się po izbie. (O ile to, co widać dokoła, izbą nazwać można.) Przez miniaturowe szybki okien wnikają promienie światła. Obok mnie na pryczy leży kapitan Szerauc. Ten stary przeszło 60-letni karpacz, co to na wojnę pociągnął mimo sędziwy wiek — teraz oto w nagrodę za swą gorliwość i trudy leży na tapczanie więziennym, otulony w derkę, w ten

mroźny ranek zimowy, w baraku drewnianym, mając pięść za poduszkę...

Dobrze, kojąco ta siwizną przyprószona głowa działa. Jeśli ty, stary, wytrzymujesz — cóż dopiero my młodzi! I odrazu „męczeńskie” naloty pierzchają — odrazu sytuacja wydaje się znośniejszą.

Prycz w baraku jest moc. Jedna obok drugiej. Właściwie niczego innego nie ma jak prycze. Ani stołów ani ławek. Legowisko obok legowiska. A na każdym śpi lub — w cichości snuje wątek myśli, rozsadzających mózg, człowiek.

Zbieram się i wychodzę przed barak. Posterunek... Na karabinie bagnet — chciałbym pójść do sąsiedniego baraku, odwiedzić kolegów — jak cień sunie za mną posterunek... Tak ciche to, bezgłośnie, naturalne — a jednak do głębi wzburzające: ten cień, który ci dano, bez którego kroku nie zrobisz...

Już nie mamy eskorty kroackiej. Dano samych węgierskich żołnierzy, nie rozumiejących żadnego języka prócz węgierskiego, a i w tym używających jedynie frazesu: „Nem sabat” (nie wolno). Spostrzeżono wczoraj, że słowiańska eskorta „niebezpieczna” — więc z miejsca w ciągu nocy ją złuzowano.

Powoli ożywia się obóz. Poczynają się żywe debaty nad naszą nową sytuacją. Jeszcze żadnych represji niema, jeszcze jesteśmy razem z naszymi żołnierzami. Starszyna nasza postanawia, że póki można

zachowujemy wewnętrzną spójną organizacyjną, podajemy się rozkazom pułkownika, uważamy się za oddział.

Dolina, 20 lutego 1918,

Od samego rana jakieś napięcie. Nie wolno nikomu wyjść poza próg baraku, intensywność służby eskorty zestokrotniała. Nie wiadomo na razie, co się stało, co przyczyną — i ta nieświadomość drażni.

W kilka godzin później rzecz się wyjaśnia: jesteśmy nie tylko więźniami, lecz mamy być traktowani jako... jeńcy wojenni.

Wprawdzie jesteście obywatelami austriackimi — conajmniej 80% — wprawdzie jesteście podatnikami, urzędnikami i t. d. — Lecz cóż to znaczy? Jakaś mądrość referencka w jakiejś wysokiej komendzie uznała nas za jeńców... I zapewne już jakiś hemoroidariusz ministeryalny biedzi się nad kwestią „szczegółowych instrukcyi“ dla austriackich poddanych, będących jeńcami — austriackimi...

Jako jeńcy mamy być odrutowani. I stąd ta nagle ostrość, te zaostżenia, które wprowadzono. Resztkę broni osobistej ma się oddać i wleźć za druty.

Kompania żołnierzy austr. już do dzieła przystąpiła. Dokoła baraku już leżą paliki, które wbijają się w ziemię i już zwoje drutu kolczastego otaczają barak.

Nowe to zarządzenie Władz austriackich podaje

nam pułkownik do wiadomości w sposób, który z nalogu trzeba nazwać uroczystym.

Smutna to uroczystość... Tak jakbyś był na pogrzebie...

Przed barakami zbiera się nasz żołnierz. Staje w szyku rozwiniętym, z boku oficerowie. Dziwnie szybko w ostatnich dniach porały się twarze, a dziś na nich bruzdy głębokie.

Głos pułkownika się załamuje i drży, gdy mówi te ważne słowa: ...Naczelna Komenda Armii austro-węg. rozporządzeniem z 19 marca rozwiązała Polski Korpus Posiłkowy...

Komendant 7. armii wdrożył przeciw nam wszystkim dochodzenia sądowe o bunt i o organizację dezercyi...

...Komenda Armii zarządziła, że mamy być traktowani jako jeńcy wojenni...

Dziwne: umysł chwyta te ciężkie słowa, lecz duch się pod nimi nie ugina. Przeciwnie! Dostojeństwo ofiary za Polskę przenika każdego. Jesteś żołnierzem: więc albo giniesz albo idziesz w niewolę. Więc jesteśmy ze sobą w porządku. I to najważniejsze.

Tot miarę jak przybywa „stanu faktycznego” dziwnie się hartujemy. Czuje to też pułkownik, bo pod koniec swego obwieszczenia dodaje kilka mocnych, wcale sentymentalizmem nie zaprawionych słów. Drut,

który nas otacza, nazywa — drutem honorowym; mówi o zaszczycie cierpienia za Ojczyznę.

Czuje, że nie pokora się we mnie budzi, lecz duma.

Wtem bucha pod niebo pieśń narodowa. Tak serca i dusze reagują na więzienie i drut-kajdany i spodziewane udręki. Wyładują się w ślubowaniu hartu.

Dolina, 21 lutego 1918.

Przyjechały dziś do nas panie z Bolechowa. Z dobrem słowem, pocziwem spojrzeniem i — co w naszej sytuacji również pewną odgrywa rolę — z prowiantami i drobnymi przedmiotami codziennego użytku.

W zasiekach kolczastych jest furtka. Stoją przed nią dwa posterunki i „urzęduje“ podoficer austr.

Stały panie przed drutami, dygocą z zimna, bo mroź siarczysty, każda pod pachami nosi moc zawiniątek i śmieją się do nas. Śmieją przez łzy...

Nie popełnię herezy, jeśli powiem, że — o ile chodzi o poczucie patriotyczne, o głębię uczucia narodowego — Polka obecnej generacji wyżej stoi od ogółu mężczyzn. Oczywiście nie wolno tego generalizować. Ale przecież — z wyjątkami — tak jest. Do tego doszedłem przez r. 1917 pobytu w Królestwie, w Warszawie, — o tem samem przekonałem się w Bolechowie. Ci nieumundurowani mężczyźni obecnej pol-

skiej generacji, którzy po większej części lata wojny spędzili na groszóróbstwie i — jałowem politykowaniu, ani się umyli do głębi uczucia patryotycznego Polki. Nie zawsze uczucie to przelewało się nurtem właściwym, niejednokrotnie skakało w historycznych podrygach; nie zawsze kobiety — właśnie odnośnie do Legionów — były sprawiedliwe w swej ocenie; niejednokrotnie dawały się brać na kawał agitacji partyjnej, podszywającej się pod mundur legionowy; ale zawsze intencje były szczerze i chęć służenia Sprawie widoczną.

Toteż bardzo mile, dobrze, kojąco, działa obecność kilku pań. Nagle czujesz, obwiedziony drutami i mając za jedyne „opiekuna” żołnierza z najeżonym bagnetem — że jest ktoś, kto się tobą interesuje, że czyjeś serce dla cię puka.

Panie wniosły powiew rodzinny, poczucie łączności ze społecznością. Zabrały listy do rodzin, zaopatrzyły nas w prowiant, obiecały dostarczyć drobiazgów, koniecznych dla spędzenia „czasu niewoli”.

Trzeba mi moc tych drobiazgów. Tak nagle się opuściło kwatery i tak trudno było wówczas myśleć o własnych potrzebach. Niemam widelca i noża, nie mam manierki, trzeba igieł, nici i wiele innych drobnych rzeczy.

Ale przedewszystkiem: wysłałem dziś list do dzieci z uwiadomieniem, co ze mną.

Dolina, 22 lutego 1918.

Pod wieczór wieść: opuszczamy Galicyę; jutro wagonowanie; wywożą nas gdzieś na Węgry, do obozów koncentracyjnych. Tam już podobno umieszczeni ci, którzy nie zdołali przejść lub którzy — jak i my — byli zdala od frontu.

Około furty w drutach kolczastych rozgrywały się dziś wzruszające sceny; przybyło moc ludzi. Błyskawicznie wieść o naszym internowaniu rozeszła się po kraju i zewsząd ściągają krewni, znajomi. Naniesiono moc jadła. Dobrze, że żołnierze nasi na razie nie odczuwają biedy.

Dolina, 23 lutego 1918.

Przez dzień przygotowania do odmarszu.

Pod wieczór poczyna śnieg prószyć. Na podwórzu ustawia się kolumna oficerska. Jest nas setka. Zewsząd otaczają nas strażę i ruszamy. Ciemno choć oko wykol, jeno bielą się śniegi.

W milczeniu okutani w derki przed śnieżycą i wichrem, rosnącym w miarę, jak opuszczamy zabudowania i wnikamy w szczere pola — suniemy po gościńcu.

Rzekłbys: dokoła nastrój taki, jaki się setki razy ze zgrozą widziało na obrazach, przedstawiających pochody etapem na Sybir.

Ta ciemność, ta cisza, te śniegi i ten las bagietów, błyszczących wszędy wokół i te miarowe kroki i te czarne, okutane postaci, dźwigające toboły — wszystko tamte dzieje przypomina...

Ktoś obok mnie na głos myśli i słyszę słowa:

— Że też w Polsce każda idea czynu, każdy ruch zbrojny kończy się pochodem etapem do kryminału...

W oddali migocą światełka. To stacya kolejowa. Ku niej zmierzamy.

Na torze wąż wagonów. Ciemne, nieoświetlone.

Wtłaczają nas wszystkich do trzech wagonów. Leżeć nie sposób, bo krótkie ławeczki, a zresztą i miejsca niema. Tyle ino, by siedzieć. Szyb brak, drzwi niedopasowane. Wiatr hula i śnieżycą wciska się do środka wagonu.

Po chwili ruszamy w ciemność.

W wagonie, 24 lutego 1918.

Jedziemy ku Karpatom. Robimy tę samą drogę, jeno w odwrotnym kierunku, jaką przebyły Legiony jesienią 1914 r. i zimą 1915 r. Wówczas z Węgier przez Karpaty wypadały Legiony na tor idący ku Stanisławowi, wówczas traktem z Körösmező do Worochty, w Huculszczyznę, w Nadwórniańskie, pędziło się przed sobą nieprzyjaciela, wówczas gołem okiem oddział pod wodzą Roji z Bohorodczan widział mury Stanisławowa — dziś jedziemy w przeciwnym kierunku.

Wówczas Legiony szły jako hufiec, spieszący z odsieczą — dziś tym samym szlakiem wracają jako... jeńcy tego samego państwa, którego granic broniły...

Ktoś złośliwie mówi:

— Legiony zrobiły ruch kołowy do koła Polski by wrócić do tej samej nasady, tejsamej bazy operacyjnej, z której w październiku 1914 wyszły... Wtedy wywagonowaliśmy w Huszt — dziś wracamy do Huszt...

Przejeżdżamy przez stacye, na widok których tyle, tyle wspomnień się tłoczy...

Oto Delatyn, oto Nadwórna, oto Worochta. Późną nocą dojeżdżamy do przełęczy Körösmezkiej. Kubek czarnej lury — to dzisiejszy obiad i kolacya, przygotowana przez „Verköstigungsstation“.

Kości bołą. Jest się brudnym i niewyspanym. Zimno jest i ciemno. Siedzi się skulonym na twardej ławce, wsłuchuje się w turkot kół i w myśli, tłoczące się po głowie...

Bustyahaza, 25 lutego 1918.

Nad ranem zjechaliśmy z Karpat w niż węgierski.

Bustyahaza. Byłem tu w grudniu 1914 r. Miasteczko witało nas jak zbawców. Moskale wtedy dotarli pod Taraczköz, patrole kozackie niepokoiły okolicę, tuż-tuż wnikając w niż. Panika ogarnęła węgierską inteligencyę Husztu, Bustyahazy, Nagy-Szöllos. Tylko

ruscy chłopci z nietajoną radością witali mołojców...

Dziś; quando mutatus ab illo...

Dziś na stacyi Bustyahaza kordon żołnierzy, który nas wtłacza do ciasnej izdebki i nie pozwala się ruszyć z miejsca. O śniadaniu nikt nie pomyślał, zimno jest i śnieg pada z sieczącym deszczem.

Czekamy. Godzinę — dwie — trzy. (Jakiś fejletonista niemiecki powiedział swego czasu doskonale, że pojęcie militaryzmu da się zdefiniować dwoma wyrazami: czekać i maszerować; czekać wtedy, gdyby się chciało maszerować, a maszerować wtedy, gdyby się chciało poczekać...)

Nareszcie przyszła dyspozycja: Mamy być zamknięci w barakach drewnianych, znajdujących się niedaleko dworca.

Grzęznąc po mokradłach i błociskach docieramy do baraków. Bagaż zostaje. Nie wolno go wziąć ze sobą. Więc ani mydła ani ręcznika, ani papierosów, ani resztek prowiantów, które każdy jeszcze ma w plecaku lub walizce.

Baraki gęsto obstawione żołnierzem, szczególnie obwiedzione drutem kolczastym.

Po chwili wtłoczyliśmy się do wnętrza izdebki. Jest tu już kilkunastu oficerów naszych, uwięzionych od kilku dni. Izdebka może pomieścić najwyżej kilkunastu ludzi, a u niej jest 100 oficerów... Nie ma gdzie usiąść, nie ma prycz, prócz kilku, które sobie spo-

rzządzili koledzy, wcześniej do tego apartamentu wwie-
dzeni. Żołnierzy naszych popędzono do innych ba-
raków, odcinając nas zupełnie od nich.

W nieopisanym ścisku czekamy, co będzie dalej.
Jesteśmy przemoczeni, nieumyjni, niewywczasowani po
podróży w wagonach zimnych, nie jedliśmy dziś jesz-
cze, płaszcza zdjąć nie można, bo gdzie go powieszisz...
Stoimy w izbie i czekamy... Mija pora obiadowa,
mija południe, zmierzch zapada... Nic. Ino u wejścia
do baraku jeżą się bagnety austriackie, a gdy się chce
pójść do latryny, to po jednemu i to w asystencyi...

Władza opiekuńcza niewidoczna... Pod wieczór
posyłamy po nią. Zjawia się leutnant — Węgier, nie
władający innym językiem jak macierzystym... Na
szczęście jeden z naszych oficerów kaleczy po węg-
iersku. Więc żądamy jadła i możliwości przespania się.
I znów czekamy...

Późnym wieczorem doczekaliśmy się. Rzucono
w barak zwój wiór, mogący starczyć dla kilku oficerów
a przeznaczony na podściółkę dla 100. Tyle ino, by
wiąteczkę wiór podłożyć pod głowę... Wniesiono kocioł
strawy. Bucha z kotła para, ino że podejrzane idą zeń
zapachy. Po dwu dniach głodu otrzymujemy — po
miseczcze rozgotowanej, zgniłej kapusty. Byli tacy, co
mimo głodu, szarpiącego wnętrzości, tego gotowadła,
któreliby u nas wieprze nie tknęły, nie wzięli; ze

wstrętu poprostu. Lecz większość przewyciężyła odrazę i jadła...

A potem w płaszczach na podłogę, pokrytą grubą warstwą naniesionego przez dzień błota... spaliśmy cudnie.

Dulfalva, 26 lutego 1918.

Przed wschodem słońca nas zbudzono. Zrywa się człowiek z deski, rozprostowuje członki, bolące z twardego posłania i — w pochód. Jeszcze mrok panuje. Aniś się umył, ani śniadał. Staje setka oficerów na śniegu, pomieszanym obficie błotem, otacza nas oddział węg. żołnierzy z nadzianymi bagnetami i — w pochód.

Mamy dziś nareszcie dostać się do miejsca stałego pobytu tj. do więzienia na stałe. Dobrze, doskonale. Byle ino skończyła się ta włóczęga, te beznadziejne etapy, to poniewieranie się z kąta w kąt. Nawet bandyta przychwytyany ma prawo do więzienia. A my wprawdzie „zdrajcy stanu“, lecz nie złodzieje, bandyci... Co prawda, w oczach c. i k. oficerów — przynajmniej niektórych — gorsi jesteśmy od złodziei, bandytów. Wczoraj np. pan kapitan, „garujący“ się w hinterlandzie na wygodnej posadzie naczelnika obozu internowanych w Bustyahaza, głośno wypowiedział, coby z nami należało zrobić. „Gdyby to odemnie zależało — powiedział ten rycerz — tobym tę całą bandę — to jest legionistów którzy przez 3 i pół lat byli na usługach mo-

narchii i w setkach bitew i potyczek brali udział — całą tę bandę bym wyprowadził z baraku na łąkę, ustawił szereg karabinów maszynowych i wszystkich powyszczał...“

Niestety te rycerskie zapędy pana kapitana (niemieckiego szlachcica, dumnie przed swem nazwiskiem noszącego tytuł „Edler von“) nie ziszczają się. Jeszcześmy tak daleko nie postąpili, aby oficerów bez sądu karabinami maszynowymi wystrzeliwać...

Mętne mgły włóczą się po dolinie, którą maszerujemy. Przejmujący panuje chłód, im dalej tem głębiej grzęzniemy w błota. Mijamy zaspane, ciche wioski karpackie i dostajemy się w dolinę Talabom. Wije się przez nią rzeczka górską, a my coraz powolej, coraz ciężiej posuwamy się naprzód. Już uszliśmy kilkanaście kilometrów, a jeszcze celu, tego zbawczego kryminału, nie widać. Okolica za to robi się coraz cudniejszą. Dolina się zwęża; po obu stronach stoją czarne lasy, a na przedzie potężny masyw Karpat, w biel śniegów zasnuty. Wioski coraz nędzniejsze, malutkie dymne chatki — odprowadzają nas jaknajdalej od toru kolejowego, od szlaków kultury, zrywają nasz kontakt ze światem.

Wreszcie koło południa dostajemy się do Dulfalvy. Mijamy nędzną wiościnę, bo nie w niej mamy być, lecz za nią, odoobnieni nawet od tych ciemnych mieszańców karpackiej osady.

Za wioską stoi drewniany kościółek. Drowi Kunzekowi, naszemu lekarzowi-rzeźbiarzowi, pokraśniała twarz i z oczu strzeliły błyski, gdy to dziwo architektoniki ujrzał. Pod rozłożystym dębem gontyna, omszona, czcigodna...

Za cerkiewką błotnista tłoka, a za nią — kryminał.

Otoczony zewsząd rowami barak drewniany. Zbudowali go przed rokiem Niemcy, jako przechodnią kwaterę dla przeciągających wojsk. Teraz ma służyć za więzienia dla nas. Barak jest urządzony dla żołnierzy, prowizorycznie mających być umieszczonymi i to letnią porą — nie zaś dla stałego pobytu i to zimą. Drewniane ściany wcale nie uszczelnione; wiatr hasa po wnętrzu baraku; okap zbutwiały. Wewnętrzne urządzenie składa się jedynie z prycz i to o dwóch kondygnacyach. Prycze mają wiązadła z drutu i wikliny. Na tem trzeba będzie leżeć... Słomy, wiór — niema. Niema też w baraku ani ławek ani stołów ani umywalni. Nic ino prycze z drewnianymi przesłami... I to więzienie na stałe? Ha, trudno, gdy się jest „zdrajcą“, a traktowanym gorzej zbója...

Pakujemy się po wyteżającym marszu do wnętrza baraku, rzucamy w zabłoconych po kolana spodniach na siatki druciane. Jest tak ciasno, że nie ma miejsca na pryczy dla każdego z nas. Po dwóch musi spać na jednej pryczy...

Jedzenia niema. Będzie jutro... Jakiś funkcyona-

ryusz — tutejszy nasz duch opiekuńczy — tłumaczy się, że mu z Bustyahaza nie dano znać dokładnie, kiedy przyjdziemy, i t. p. wymówki.

Niech tam!

W nocy tak zimno, że mimo zmęczenia spać nie można. Dygota się z zimna. Jest wprawdzie na środku baraku piec, ale od roku nie czyszczony, a zresztą nowy nasz opiekun nie wiedział przecież „dokładnie“, kiedy przyjdziemy. Więc i głodno i chłodno i twardo.

Dulfalva, 27 lutego 1918.

Dziś nam obwieszczono, czego się mamy spodziewać w tem stałem więzieniu. Jesteśmy nietylko więźniami ale i jeńcami. Więc nie otrzymujemy wiktów więzionych austr. oficerów czy żołnierzy, lecz wikt jeńców tj. tylko 2 razy tygodniowo mięso i to koninę, żadnych konserw, tłuszczu i t. d. 1 bochenek chleba na 8 dni...

Do wsi chodzić nam nie wolno. Mieszkańcom wsi zabroniono do baraku się zbliżać. Komunikacja ze światem odbywać się może jedynie za pomocą poczty polowej; wolno nam jednak wysyłać tylko 1 pocztówkę i to raz tygodniowo. Pocztówka ta jednak idzie do sądu, który orzeka, czy może być wysłana...

Przed barakiem jest placyk. Na nim za dnia przebywać wolno. Z nastaniem mroku wszystko w baraku. Wszędy stoją posterunki, które mają rozkaz strze-



Major Włodz. Zagórski.

lania natychmiastowego, gdy się kto udaje poza obręb rowów, otaczających barak...

Oto „porządek“, któremu mamy się bezwzględnie podporządkować.

Od samego rana wre w baraku jak w ulu. „Urządzamy się“. Nie na próżno przebyło się 2 i pół roku w polu, 2 i pół roku improwizacji mieszkaniowej! Legun ma rutynę w akomodowaniu się do mizeryi kwaterowej i wydobywaniu z minimalnego stanu maksymalnych efektów. Więc mimo zakazy, rowy, strażę, pustkę wiejącą dokoła naszego kryminału — jakoś znalazło się trochę słomy i siana, kilka gwoździ i desek.

Ino ta ciasnota, ta ohydna ciasnota! Jesteśmy jak śledzie w beczce. Niema gdzie rzeczy podziać; pod pryczą błoto, na pryczy się leży, nad pryczą druga kondygnacya, na której znowu dwóch kolegów leży. Stołów, ławek, szaf, półek, szaragów — niema. Zaduch okropny. Miotłą wciąż się sprząta i wciąż pełno błota i śmiecia. W baraku może się zmieścić co najwyżej 30 ludzi, a jest 100 oficerów, oraz ordynansi.

Na dworze plucha — śnieg z deszczem — więc wszystko musi się odbywać wewnątrz — a tu trącamy się łokciami, najeżdżamy na siebie przy każdym ruchu.

Obok baraku przybudówka. Urządzamy w niej jadalnię. Przybudówka służyć miała niemieckim oddziałom zeszłego roku na łazienkę — dowodzi tego wielki piec i kilka drewnianych wanien — lecz nam

przyda się na jadalnię. Właśnie piec i przestrzeń zyskana po zepchaniu wanien w jeden kąt.

W południe idziemy na „menaż”. Ciekawe, co też nam po tylu dniach głodu podadzą nasi opiekunowie na obiad!

Obiadu nie tknęliśmy. Składał się z — lepkiej, gorzkiej, skiśniętej masy, powstałej z wygotowania dyni zakonserwowanej, niemożliwie cuchnącej...

Bardzo się chciało jeść — lecz nie sposób... Obrzydliwe! Ta ślizga, lepka, żółtawa, cuchnąca masa — nie, nie!

Uzyskaliśmy natomiast wielką „zdobycz”: wolno nam zebrać między sobą pieniądze i wysłać jednego z wartowników do wsi, by tam zakupił dla nas prowiantów. Wprawdzie przy tych zakupach dzieją się ...cuda (bo żołnierz kupujący dziwnie słabą ma pamięć i dziwnie często się myli), wprawdzie ceny horendalne — lecz za drogie pieniądze dostać można. Za 10-15 K. dziennie będzie można nawet uchronić się przed głodem.

Wysyłamy więc ekspedycję po chleb, którego się najadłszy odrazu zyskujemy inny humor...

Mam wrażenie, że im dalej w las, im dłużej w więzieniu, tem bardziej z wnętrz naszych wydobywać się poczynają popędy animalistyczne...

Dulfalva 1 marca 1918.

Tak jest! Animalizm górą. Trzeba jednak przeciw-

działać rozpętaniu się instynktów li tylko animalistycznych, zapobiedz rozprężeniu intelektualnemu, tej apatyi i zgnuszeniu duchowemu, które się poczynają zakradać.

Więc w kilku uradziło się. Powstał — jakżebyż w Polsce mogło być inaczej? — Komitecik dla „podniesienia ducha“. Wprawdzie powiada przysłowie, że droga do podniesienia ducha prowadzi przez napchanie brzucha — ale przysłowie to nie stosuje się chyba do pobytu w kryminale, bo po pierwsze, czem tu napchać brzuch, a powtórę choćby brzuch był napchany, to i tak szarżyna, jednolitość, brak ruchu, zmian, swobód, musi na umysł działać paralizująco.

Postanowiliśmy więc zająć siebie i innych umysłowo. Zakładamy „kursa“! francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego, włoskiego. Ponadto codzień pod wieczór kto inny ma wykład na temat specjalny, lecz wszystkich interesujący.

Zaraz od jutra poczynamy. Dziś „zapisy“.

Postanowiliśmy także ulepszyć środki do życia. Założyliśmy więc kooperatywę, towarzystwo udziałowe — udział 20 K celem zakupna środków aprowizacyjnych i przedmiotów codziennego użytku: marmelada i mydło, ser i proszek do zębów...

Z miejsca zebrało się kilka tysięcy koron. Jutro poczynamy „rokowania“ z naszymi opiekunami, mieszczącymi się we wsi, w chałupie, na której widnieje napis

„k. u. k. Kriegsgefangenenlager Dulfalva“ — rokowania
zmierzające do uzyskania zezwolenia na zakupy.

Dulfalva, 2 marca 1918.

Dziś pierwszy dzień „kursów“ i pierwszy wykład.

W środku baraku, między dwoma rzędami pryczy, ustawiliśmy wąski, podługowaty stół. „Skądś“ się go wzięło, tak jak i dwie ławki. Co za postęp w umebrowaniu baraku, co za komfort!

Pod wieczór zasiadł za ławą pułkownik, zasiadła starszyzna; wieńcem stoją dokoła oficerowie, a ci z nas, których prycze blisko, na nich przykucnięci — i słuchamy. Chorąży wykłada o początkach kultury. Coraz częściej kładną się cienie na prycze i ludzi, coraz bardziej spowija barak mrok — a tu gromadka więźni wsłuchana, cichutka, pokorniutka... Chwila zapomnienia, godzina odbieżenia do rzeczywistości... Chorąży bardzo gruntownie i bardzo barwnie mówi o prymitywach kultury. Co za ironia losu! Siedzimy w kryminale; w czasie zenitu kultury i techniki wojennej skazano nas na prymitywne życie barakowo-jaskiniowe, a tu wykwita przed nami czar zamierzchłych czasów...

Dulfalva, 5 marca 1918.

Do pobliskiej wsi, Talabor, zjechali sędziowie śledczy. Mają się rozpocząć przesłuchiwanie. Dowiadujemy się dopiero, jacy złoczyńcy byliśmy! Nietylko

jesteśmy oskarżeni o zdradę stanu, lecz również o spisek, o bunt, o planową organizację dezercyi. Oficerowie austr. w Bolechowie wniesli przeciw nam doniesienie, że chcieliśmy napaść na magazyny, urządzić napad na składy amunicyi, zdobyć stację i tor kolejowy, pomaszerować do Borysławia i zniszczyć szyby naftowe, że rozpuszczaliśmy setki legionistów po kraju, po Chełmszczyźnie, aby tam działali rewolucyjnie.

Ha, trzeba się będzie bronić. Trzeba będzie w akcie oskarżenia ziarno wyiskać z plewy. Bo my nie chcieliśmy więcej się bić po układzie brzeskim, nie chcieliśmy być ochotniczą formacją na wysługach tych, co okroili Polskę — ale grabić i kraść nie chcieliśmy!

Popełniliśmy — ze stanowiska Austrii — może zdradę stanu, lecz rzezimieszkami nie byliśmy.

Proces nasz ma tło narodowe, polityczne, a nie kryminalne. Więc musimy wszelkie zakusy, zmierzające do przedstawienia nas jako bandy kondotierów, odeprzeć!

W tym duchu będziemy się bronili. Niech nas sądzą za tekst oświadczenia, które złożyliśmy 17 lutego w Bolechowie. Za nic więcej!

Dulfalva, 7 marca 1918.

Z ludźmi z którymi siedzę w więzieniu, żyję razem od 3½ lat. Dzieliliśmy wspólną dolę, zżyliśmy się. Lecz ich teraz nie poznaję, a właściwie: dopiero teraz poznaję. Co za niespodzianki! Co za zmiany! Jaka

różnorodność typów, charakterów! Służba wojskowa — zdałoby się — niweluje; wszyscy w jednym mundurze, o jednakowym sposobie wyrażania się, życia, jednych drogach i celach.

A jednak tu inaczej! Dopiero tu wypełzły właściwości indywidualne, przez 3¹/₂ lat podciągnięte pod strychulec służby wojennej. Tu — rzeczyby można — rozprostowała się, rozprężyła niejedna indywidualność, wylazły instynkta, dławione musem służby wojskowej. Nieprzebrana studnia studyów nad duszą i charakterem ludzkim.

Dziwnie, jak niektórzy na życie więzienne reagują! jak inaczej niżby spodziewać się należało!

Jest np. jeden, który był świetnym administratorem. Bojowo zawsze mniej znaczył, ale kompanią swą rządził mądrze i zapobiegliwie. Zawsze był czynny. A teraz? Teraz pościelił pod siebie dwa koce i leży... Ani sposób go z pryczy wydostać. Jedzenie każe sobie podawać, myje się siedząc na pryczy. Leży przez 24 godzin na dobę. Wyciągnięty, w sobie skupiony, jakby fakir, nie reagując na otoczenie...

Inny był leniem, co się zwie, strojnisiem i bawidamkiem. Był bardzo poszukiwany jako towarzysz w „mieszanem“ towarzystwie. Grał na fortepianie i mandolinie, śpiewał kuplety, bawił prestidigatorem, prawił panienkom komplementa, był zawsze starannie golony i czesany, nosił śnieżno-białą koł-

nierzyk i miał „sznitowo“ skrojoną bluzę i nienaganne pryczesy. Dziś? Zapłacił brodę; twarz ma jak ścierisko i pracuje. Od rana do zmierzchu. Zawsze z książką. Nie tylko czyta, ale się i uczy. Języków, techniki, przyrody i t. d.

Inny był milczkiem. Jest takich w wojsku wielu. Ludzie czynu, załujący sobie i innym słów. Umie komenderować, mówić nie umie. Teraz — papla, gadtivus. Jakby chciał przegadać swe sumienie, swe wnętrze. Od rana do wieczora ino mówi, zawsze z kimś konferuje, coś komuś perswaduje.

Inny był człowiekiem spokojnym, taktownym, takim dobrym chłopcem, co miał ino przyjaciół. Dziś burda, szukający wszędy zwady, zaczepki, drażliwy i wrażliwy, stale krzywdzony a sam stale krzywdzący. Co dzień ma „afere honorową“, co dzień wysyła sekundantów. Coraz bardziej natrętny, arogancki, prowokujący.

A inny znów uchodził za sybarytę, estetę życiowego, magistra elegantiarum. Petroniusz w kieszonkowym wydaniu. Dziś wyszukał sobie na podwórku placyk i począł rozkopywać ziemię. Projektuje miniaturową trasę kolejową, urządza na przestrzeni kilku metrów nasyp, buduje mosty, wiadukty, w pocie czoła rozkopuje ziemię, znosi żwir, cały zababrany, umorusany.

Dziwne, dziwne zbiorowisko ludzkie! Bajeczne studia nad człowiekiem robi się w — kryminale.

Dulfalva, 8 marca 1918.

Zastanawiałem się wczoraj nad innymi, opisywałem odmiennosc ich zachowania się. A nie dodałem, że i w samym sobie widzę dziwne zmiany psychiczne.

Mam wrażenie, że czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mnie zamknięto w samotnej celi — a jednak od szeregu dni niczego więcej, nie pragnę jak takiej celi samotnej. Tęsknię, łaknę samotności...

Nie ma większej męczarni, jak takie gromadne więzienie. Być w jednej ubikacji ze 100 ludźmi, zawsze, wiecznie, w dzień i w noc, gdy się jest wesołym i gdy smutno duszy — to okropne.

Chciałoby się ze sobą samym porozmawiać — nie sposób. Gdzie się ruszysz — człowiek. Obok, nad tobą.

Dziwnie drażniąca i drażliwa atmosfera się wytwarza. Najpocziwsi ludzie poczynają razić. Poczynają się dopatrywać właściwości i cech bliźniego, jakich się nie widziało, na które się nie zwracało poprostu uwagi. Ten ma taki jakiś dziwny sposób mycia się, a tamten wciąż pogwizduje; ten wówczas, gdy myślisz, wpada jakimś banalnym konceptem, a tamten godzinami głośno liczy punkty pikiety, gdy ty chcesz pisać lub czytać...

Wiele, wiele dałbym, gdybym mógł choćby kilka

godzin na dobę spędzić sam... Choćby w celi, tym postrachu każdego więźnia.

Stało się to moją idee fixe. Czuję, że staję się coraz nieznosniejszym, dokuczliwszym, zjadliwszym, nerwowszym. Boleję nad tem. Wolałbym, by tak nie było. Lecz nerwy silniejsze...

Widzę zresztą, że i inni nie są takimi, jak zwykle...

Dulfalva, 8 marca 1918.

Ostatnio sprowadzono do naszego baraku 16 oficerów 2 pułku ułanów. Sami królewiaczy. Dowiadujemy się, że w Synowódzku nasz pułk ułanów rozbrojono, austriackich poddanych wywieziono do c. i k. armii na front włoski, zaś Królewaków tu internowano.

Mam wśród nowo przybyłych wielu przyjaciół z czasów Rarańcza—Rokitny, z czasów Wołyńskich. Cieszę się bardzo, bo wnoszą pierwiastek wysokiej kultury towarzyskiej. Cokolwiek by powiedzieć o użyteczności jazdy, jako rodzaju broni w nowoczesnej wojnie, to pewne: korpus oficerski naszej konnicy wnosił zawsze i wyższy rozmach i wyższy poziom ogłady i kultury. Niewielu ich było, zebrali się, poprzyjaźnili — panuje wśród nich wyborowy „duch korpuśny“.

Razem z nowo przybyłymi jest w baraku już kilkudziesięciu oficerów - królewaków. Smutne, bardzo smutne refleksye budzą się, gdy się widzi tę kompletną apatyę Królestwa wobec własnych poddanych... My,

Galicjanie, czujemy tu, w kryminale, w wioszczynach węgierskich, że za nami stoi kraj, cała jego reprezentacya. Mamy tego przeliczne dowody. (Nie piszę tu rozmyślnie o zakulisowych akcyach — to kiedyindziej).

Ale ci Królewiaczy — biedni! Nikt w Królestwie o nich się nie zatroskał, nikt do nich nie przyjechał, nie napisał. Rada Regencyjna milczy, rząd polski milczy, społeczeństwo milczy. My mamy już x dowodów akcyi Koła Polskiego, mamy składki całego społeczeństwa mamy zakonspirowanych wysłanników, pocztę tajną, instrukcyę, kontakt przez szereg szlachetnych kobiet, mamy dostawę pieniędzy i żywności. Ale Królestwo milczy...

Milczało, gdyśmy przed dwoma laty wkraczali w kraj przemaszerowali od Nidy po Styr — milczało, gdyśmy zeszłego roku byli załogą kraju i chcieli być kadrą wojska polskiego.

Ale milczy i teraz, gdy siedzimy po 3 latach walk dla obrony granic Królestwa, w więzieniu, a z nami siedzą i obywatele Królestwa, poddani państwa, synowie i bracia ziemian i mieszczan Królestwa...

Dulfalva, 10 marca 1918.

Ksiądz Koźma odprawia dziś mszę polową.

Na podworcu baraku ustawili nasi żołnierze ołtarz polowy. Pięknie pokryli go kocami, przystroili choiną. Nasz kapelan багаż swój w zawieruchach ostatnich

po większej części postradał, ale kuferek z przyborami mszalnymi odratował i przyniósł ze sobą do więzienia. Przez 4 lata dźwigał ze sobą ten kuferek; od chwili, gdy ruszył z nim do Kielc w sierpniu 1914 r. do chwili, gdy go postawił obok pryczy więziennej w Dulfalvie w lutym 1918 r. Przemierzył ten kuferek cały wschodni teren wojenny, całą Polskę... Ten cichy, prosty, naiwny Kapucyn w wyblakowanym, brązowym habicie „zlegunizował się” doszczętnie z biegiem lat. Nic nie roniąc z powagi księdza — przecież w każdym calu legun. Jak zresztą i ks. Panaś i ks. Antosz.

Msze polowe w Legionach zawsze na mnie wywierały specjalny urok i budziły osobliwe nabożeństwo. Anim katolik, ani pozatem wierzący — a jednak właśnie w polu, właśnie w Legionach, byłem nie samym tylko świadkiem nabożeństw, lecz wewnątrznie uczestnikiem. Czy instyktownie budziła się wśród grozy wojny potrzeba „katarsis” duchowej a zaspakajała ją msza; czy było to miejsce i czas skupienia; czy dla mnie, żyjącego od dzieciństwa bez ceremoniału jakiegokolwiek religijnego, obchody te były uzupełnieniem pewnej luki psychicznych przeżyć; nie wiem. Faktem jednak jest, że je przeżywałem, że były mi potrzebą.

Nie pamiętam, by kiedy jednak msza takie wrażenie wywarła jak dzisiaj.

Pamiętam ten chłodny ranek październikowy r. 1914, gdyśmy wywagonowali w Huszt i odrazu rzucono piechotę

w odmet walk. Wysypała się brać zziębnięta z wagonów, chwytając za karabiny i ruszyć miała przeciw patrolom kozackim, rzekomo szwendającym się wzdłuż toru kolejowego. I pamiętam tę mocną chwilę, gdy wśród mgieł porannych wychylił się nad klęczącymi kapelan, zrobił znak krzyża i wyrzekł słowa, których sens wówczas wżarł się w mózgi: „in articulo mortis...”

Pamiętam noc na pozycjach pod Okörmezö, noc wigilijną, spędzoną po raz pierwszy w polu, pasterkę, przerywaną dudnieniem armatnim i gwizdem kul karabinowych...

Pamiętam mszę żałobną w Rarańczy, mszę za uczestników szarzy rokitniańskiej; lato złociło pola a z serc szedł zamróz...

Pamiętam mszę odprawioną przez ks. biskupa Bandurskiego w odwiecznym borze wołyńskim, na kresach, nad Styrem, gdyśmy stali jeszcze tam, gdzieśmy widzieć radzi byli granice państwa...

Tyle, tyle razy potem msza była w Legionach i aktem religijnym dla wierzących i zarazem symbolem państwowo-twórczym, uświęceniem historii i żądań współczesnych. Taką była msza w dzień 3 maja 1915, którą obchodziliśmy w Dobronowcach, na szlaku rycerzy Wołodyjowskiego, na rubieży Polski, na granicy Besarabskiej; taką msza w rocznicę powstania styczniowego obchodzona w r. 1916 w Wołczecku, na Podlasiu, na granicy wschodniej chełmszczyzny, taką msza dzięki-

czynna w Baranowiczach, na granicy Litwy i Białorusi, w listopadzie r. 1916, po akcie 5 listopada; taką msza w maju 1917 r. w Warszawie, w kościele garnizonowym Legionów, przerobionym z cerkwi dla żołnierzy moskiewskich, w świątyni, o której mury po raz pierwszy od niemal setki lat odbijały się dźwięki modłów i pieśni polskich...

A jednak dzisiejsza msza do głębi, najmocniej wzruszyła. Widziałem to na twarzach wszystkich.

Śniegi bieleją po polach, śniegami przyprószone drzewa na stokach, śniegi opalizują na szczytach Karpat przed nami. Tam, za nimi kraj...

A tu, za górami, przed więziennym barakiem, otoczeni rowem i drutem kolczastym, stoi garstka zapaleńców spętanych, wpatrzeni w ołtarzyk i biel sukienki księżej. Dzwonek tak krystalicznie brzmi... Wszystko głucho przypadło do ziemi... Taka cisza...

A potem tak wymowne, tak straszne ulatujące słowa pieśni, której refren tak ponuro brzmi:

...„My w niewoli...”

Więc taki bilans czteroletnich zmagania? Więc po to tyle wysiłków, krwi, by potem znów stwierdzać: my w niewoli? Więc znów pocznie się okres tęsknot i snów o czynie, by wreszcie słowa pieśni przestały być aktualnym wspominkiem a stały się historycznym refleksem?

Dulfalva, 16 marca 1918.

Od kilku dni żyjemy w silnem naprężeniu. Codziennie przynoszą z sądu kartkę, a na niej nazwiska oskarżonych, mających być przesłuchanymi. Pod osłoną bagnetów maszeruje się z Dulfalvy do Talaboru, gdzie siedziba audytorów. Pod wieczór wracają nasi oficerowie podnieceni i wyczerpani zarazem.

Dziś na mnie przyszła kolej. Zeznawałem bardzo obszernie. Odpierając zakusy, by naszą sprawę zrobić aferą bandytyzmu lub nadać jej czysto wojskowy charakter stereotypowego buntu, dezercyi i t. d. — przesuwalem w zeznaniach punkt ciężkości na tory zasadnicze, na ogólny, polityczny charakter sprawy.

Mam wrażenie, że nasze wyjaśnienia rozprószą perfidyę, rozszerzającą akt oskarżenia na czyny hańbiące i ograniczą oskarżenie na czyn polityczny, płynący z szlachetnych motywów. Jeśli 100 oficerów zezna, że nie o rozboje, plądrowania, niweczenie chodziło, lecz że źródła buntu głębsze, że podstawy ruchu są uzgodnione z wolą i podstawą całego narodu — myślę, że oskarżyciele nasi będą zblamowani a my wolni. Boć przecie całego narodu nie zamkną do kryminału?

Dulfalva, 18 marca 1918.

Po przesłuchaniu nastąpiło psychiczne rozprężenie. Nudno jest, głupio. Poczyna się czekanie na decyzję sądu. Ponoś cały materiał poddają studyom, sortują

zeznania, sprowadzają do wspólnego mianownika i mają wyciągnąć wnioski.

Tak, w kancelaryach audytorów wre praca — ale tu w więzieniu dni szare, jednostajne, nudne.

Przez ostatnie lata tyle się pracowało, tyle było ruchu, emocyi, zmian — że ta szarość bytu więziennego podwójnie ciąży.

Dulfalva, 24 marca 1918.

Palmowa niedziela. Nasze msze niedzielne stają się coraz bardziej świętem dla okolicznych włościan. Tłoka między naszym barakiem a drewnianą cerkiewką, co niedziela już od wczesnego ranka zapełnia się różnobarwnym tłumem. Ściągają zewsząd ludzie, by przypatrzeć się nabożeństwu odprawionemu przez ks. Komę. Ten ciemny lud podgórski, gwałtem madiaryzowany i zaprawdę nie mający ani krzty zrozumienia dla kategorycznych imperatywów, idących zarówno z Budapesztu jak i Kijowa — widzi w nas tylko ludzi, którzy „skończyli wojnę“, bo oparli się dalszemu jej prowadzeniu. Wola ludowa, by ta wojna wreszcie się skończyła, a z nią drożyzna, braki, rozstania rodzin, rany i „listy strat“ — nigdzie jaskrawiej się mi nie uwidoczniła, jak w tej naiwnej sympatii chłopstwa tutejszego dla tych, co rozbrojeni, tych, których świetny sąd trzyma pod kluczem.

Podczas nabożeństwa półkolem stoją na tłoce;

kobiety przez cały czas mszy klęczą, chłopci w jasnych baranich kozuchach stoją zapamiętali i biją pokłony i po trzykroć się żegnają...

A z przestworza, od południa, od puszy, idzie już przedwiośnie, idzie powiew ciepła...

Z lasów wytraca się śnieg, ino na szczytach opalizuje. Zrudziałe kępy traw wydawać poczynają woń. Ziemia poczyną oddechać; czasem dziwnie ciepły przeleci powiew; czasem przez kilka godzin masz złudę prawdziwej już wiosny.

Poczyną nam się robić ciasno i duszno w baraku. Godzinami długimi krążymy po placyku przed barakiem, uprzątajemy śnieg, kopujemy rowy dla odpływu stopniałych warstw lodu, ustawiamy wzdłuż ściany baraku stoły i ławy, wypatrujemy pilnie zmian w pejzażu, lubujemy się każdym przeobrażeniem w widoku, który przez cały miesiąc był jednaki, skostniały w uścisku mrozu.

Dulfalva, 1 kwietnia 1918.

W Wielką Sobotę pięknie zamieciono i doprowadzono do wzorowej czystości barak.

Widziałem jak na twarzach wszystkich ryła się głęboka zgryzota. Święta w polu, zdala od domu — tak, tak, to było smutne, ale owiane specjalnym czarem. Ale święta w kryminale — —

Stąd jakaś zapamiętałość w robocie. Każdy się



Ks. Kapelan Panaś według rys. L. Gottlieba.

krząta, każdy skądś coś wydostał, trochę słoniny, parę jaj, białą bułkę, odrobinę kiełbasy, flaszczynę.

Chór nasz wyćwiczył się, niczem zrzeszenie zawodowych śpiewaków; ksiądz odbył X narad i prób celem urzędzenia rzetelnej Resurekcyi; ino że salwy karabinowej nie będzie... boć nam przecie zabrano wszelką broń...

Zapadł mrok... Jak cienie się snują po placu przed barakiem ludzie... Kąta znaleźć nie mogą...

Między dwoma tapczanami ustawił porucznik Gutek deskę. Na siano dał kilka ręczników. Zaczne święcone na nich spoczywa. Wiją się między talerzykami pełnymi kiełbasy i jaj, między flaszkami rumu i cienkuszą gałązki, zielenieje młodzieńskie listowie. Dwie kopące świeczki flankują podługowatą deszczułkę, wciśniętą między dwa tapczany.

Zebrało się tu kilku starych druchów. Przyszedł na chwilę pułkownik i podpułkownik, przyszła z kolei starszyczna, kapitanowie i porucznicy, dzielą się święconem jajkiem i podają sobie dłonie w wymownym, twardym uścisku...

Idą śpiewy, takie rzewne, ciągnione, łzami nabrzmiące... Idą potem głośniejsze, coraz głośniejsze, huczne, dudniące, buchają, wrą, kotłują. Trzeba z serca, z duszy, z trzewi coś wyrwać, to, co tam dusi!

Migocą dwie świeczki i bielą się ręczniki — a na

obu tapczanach siedzi tych kilka postaci i upaja się, przegaduje się, przekrzykuje.

A tam w drugim końcu baraku dokoła kapitana Modelskiego młódź chorążych ze szkoły oficerskiej. Piją — nie, leją w siebie całe kądźwie; zgrzani, spoceni, czerwoni, rozgłośni. Piją, piją — na umór, na rozpacz, na ból.

Dziś w nocy trzeba, musi się, utracić przytomność, świadomość, władzę normalnego myślenia!

Wszyscy w baraku ulegamy jakiejś psychozie zbiorowej, jakimś szałowi gromadzkimu. Pociąga on po kolei wszystkich! I tych cichych i tych wstrzemięźliwych i tych zawsze tak rozważnych.

Wychodzę na chwilę przed barak. Nasza straż dostała widocznie instrukcję, by w tę noc być dyskretnie wstrzemięźliwą. Jest niemal niewidoczną. Ino z rzadka połyskują bagnety wart...

Niebo się roziskrzyło. Stoi w oddali czarna ściana Karpat. Cicho w okół. Ino z dala szumią fale Talaboru.

A z baraku bucha światło i głosy przedzierają się przez drewniane ściany. Coraz głośniejsze, coraz mocniejsze!

Wchodzę z powrotem do środka.

Opary wewnątrz baraku; tańczą w nich cienie; ze smugami światła płyną nieartykułowane głosy; tu kilku się całuje: tu kilku przytupuje i próbuje podtrzymać wciąż drącą się nić melodyi...

Szał ogarnął cały barak. Czy mi się tylko tak

zdaje, czy też barak naprawdę tańczy, unosi się w mgły, opada...

Nie, nie. Nie jestem pijany. Mało piłem. A może właśnie dlatego zdaje mi się, że barak oszalał. Szkoda, że i ja nie upiłem się...

Lepiej tym, co stracili dziś władzę myślenia. Są przez tę noc — wolni.

Wyzwolili się choć na jedną noc z brzemienia myśli...

* * *

W pierwszy dzień świąt zebraliśmy się u stołu jadalnego na wspólną ucztę.

Napór rzeczywistości po tej nocy szalonej zestokrotniał. Widocznie się to stało po ciężarze gatunkowym przemówień, wygłoszonych podczas dzielenia się święconem.

Dokoła nas wyzierała zimna, twarda, nieubłagana rzeczywistość.

Dulfalva, 6 kwietnia 1918.

Wiosna.

Dulfalva, 8 kwietnia 1918.

Od niejakiego czasu mamy coraz częstsze wizyty.

Był wiceprezes Koła polskiego hr. Baworowski, był marszałek polny porucznik Rozwadowski. Ten wysoki, zasłużony generał nie zyskał pozwolenia rozmó-

wienia się z nami. Jedynie w towarzystwie audytora, i to poza obrębem baraku, mógł kilka słów zamienić z pułkownikiem Sikorskim; pozatem miał przystęp do nas wzbroniony... C. i k. generał, ekscelencya...

Kołu polskiemu napisaliśmy już poprzednio listem, zaopatrzonym w podpisy wszystkich oficerów, a teraz za bytności wiceprezesa powtórzyliśmy:

Nie życzymy sobie interwencji naszej reprezentacji politycznej odnośnie do naszego indywidualnego losu; nie chcemy, aby prowadzono w Wiedniu politykę „legionową“ tj. by za ulgi nasze płacił kraj, by Koło jakieś koncesye rządowi czyniło gwoli uwolnienia nas lub choćby ulżenia nam. Kraj ma takie potrzeby, tak ważne i miliony ludzi obejmujące postulaty — iż oddzielić od nich gruntownie potrzeba los kilku tysięcy żołnierzy polskich, którzy śnili o wielkiej, wolnej Polsce, a sen swój odpokutować muszą w więzieniu. Związek przyczynowy między nami a wskazaniem narodowej polityki jest — lecz oportunistyczna polityka dnia codziennego nie może uzależniać bytu kilku tysięcy ludzi od fluktuów zakulisowych wiedeńskich „pertraktacji“.

To też, sądzę, że dobrześmy zrobili, prosząc, by Koło nie liczyło się z naszym losem, przyszłością, zaś od rządu twardo domagało tego, co kraj potrzebuje.

Byle tylko w tem do końca wytrwało!

Dulfała, 10 kwietnia 1918.

Dziś odwiedzili nas dwaj księża, delegaci konsystorza arcybiskupiego lwowskiego.

Nie notowałbym specjalnie tych odwiedzin — jednych z wielu w ostatnich czasach — gdyby nie pewien szczegół, który mi dawno spokoju nie daje. Pozbędę się go, gdy się z nim rozprawię na piśmie.

W swej przemowie do nas wygłoszonej, zaznaczyli księża, iż między nami tu w więzieniu a całym społeczeństwem istnieje wewnętrzna harmonia, iż za nami stoi teraz już nie część narodu, lecz cały naród, iż dla nas wszystkie serca pukają — bo się... zrehabilitowaliśmy.

To słowo „rehabilitacja“ padło już kilkakrotnie. Słyszałem je z kilku stron.

Ponoś „zrehabilitowaliśmy się“ na dwa fronty: i wobec skrajnej lewicy i wobec skrajnego nacjonalizmu. Ponoś Wicek Socyalik z Krakowa uważa nas za „zrehabilitowanych“, taksamo jak i Pafnucy Tromtadaratkiewicz ze Lwowa.

Kiedy się było, w ogniu stało w polu, kiedy Wąsowicz szarżował, Januszajtis cudów waleczności dokazywał, kiedy szary legun wskrzeszał na świat cały tradycje rycerskie polskie, kiedy chcieliśmy budować kilkakroć-stotysięczną armię, kiedy nawoływaliśmy do siły — wtedy byliśmy „szwarcgelbami“ czy „beselerczykami“, pacholkami, K-Stelowcami, zdrajcami nieomal. Wtedy

z dwóch stron na nas: huzia! Wtedy „Naprzód“ grzmocił i „Kurier lwowski“ wyklinał; wtedy nam przeciwstawiano zakonspirowane organizacyjki wojskowe lub odstręczano od naszej idei przez skierowywanie zainteresowania publicznego do taniej filantropii; wtedy „mundur“ był w poniewierce, a przemundurowanie się w cywila, cnotą narodową.

Dopiero, gdy nas zamknięto, gdy już nic dla Polski zrobić nie możemy, gdy przeciwnie: Polska dla nas składki zbiera, posyła stare koszule, gdy paskarz koi swe sumienie ofiarowaniem piątki na „biednych“ internowanych w Huszt i okolicy — „całe“ społeczeństwo nas kocha, admiruje, księża spieszą do nas (na Wołyniu i Besarabii i w Karpatach, ach jakby się niejeden legun był wypowiedział z trosk dusznych).

A już najlepsze to „zrehabilitowanie się“.

Czy to znaczy, że bijąc się za Polskę, grzeszyliśmy, chcąc wywalczyć jej wolność siłą, a nie antyszambrowaniem, modłami, śpiewami, wiecami, rezolucjami — bładziliśmy...

Czyżby wiecznie „Sybir“ w rozmaitych formach miał być jeszcze „rehabilitacją“, przeproszeniem P. T. mas za to, że jednostki ośmieliły się dla nich wywalczać wolność?

Doskonale na przemowę księży odpowiedział pułkownik. Przy całym respekcie, dziękując za pamięć i dobre słowa — zaznaczył jednak wyraźnie, że za-

prawdę nie jesteśmy marnotrawnym synem, wracającym na łono matczyne, by tam w passywiźmie zgnuśnić, że nie uważamy się za rehabilitujących się grzeszników.

Społeczeństwo cieszy się, żeśmy złożyli broń i dlatego nas admiruje. A my przeciwnie: nas złożenie broni, bezczyn, głęboko smuci. My nie złożyliśmy broni, by się podobać — lecz z wewnętrznego musu.

Ci, co dawniej wcale za broń nie chwyтали lub odkładali ją (i w r. 1914 w Mszanie i w r. 1917 w Warszawie) z nakazów partyjnych, z urażonych osobistych ambicyi, ci z nami mierzyć się nie mogą.

Bo II Brygadę nic z obowiązku służby narodowej, z raz powziętej linii wyważyć nie zdołało, ino sprawa ogólnie - narodowa. Z każdego kryzysu wychodziła zwycięsko, żadna partyjna agitacja zachwiać nią nie mogła, żadne antagonizmy osobiste jej nie wykruszały, nie oglądała się na prawo i na lewo na passywistyczne podszepty i na warcholskie miny — dopiero, gdy naród, ideę państwową usiłowano zwęzić, wtedy impulsywnie, nie licząc się z niczem, nie mierząc sił, ofiarując swe życie, przyszłość — żołnierz II Brygady silnie zareagował.

Więc niechby więcej o „rehabilitacyi“ nie mówiono!

Dulfalva, 15 kwietnia.

Od kilku dni wprowadzono znów obostrzenia. Nie wolno krokiem wyjść poza obejście, nawet w asy-

ście eskorty nie wolno się przespacerować. Odwiedziny są zakazane. Poczta nie dochodzi.

Straż stała się brutalną. Wieczorem ruszyć się nie można z baraku. O godz. 9 światła muszą być pogaszone.

A tu wiosna w całej krasie. Z gór dolatują powiewy żywiczne, ruń zazieleniała, słońko praży — człowiek rwie się ku swobodzie...

Dulfalva, 18 kwietnia.

Jesteśmy wolni!

Proces obejmie stukilkunastu oficerów i żołnierzy komendy Legionów i z pośród tych, których przychwymano podczas przechodzenia.

Reszta jest z pod odpowiedzialności sądowej uwolniona.

Dziś rano autem przyjechał eksc. Szylling i... gratulował nam. Sąd uznał, że niema podstaw do dalszego ścigania nas, więc — jesteśmy wolni. Że jednak korpus jest rozwiązany, więc poddani Królestwa zostają nadal internowani, zaś wszyscy poddani austro-węgierscy muszą nadal spełniać powinności wojskowe i to w rangach podoficerskich wzgl. żołnierskich — na froncie włoskim.

Mamy się więc przygotować na to, że w najbliższych dniach zostaniemy rozdzieleni: Królewiaci pójdą do obozów koncentracyjnych i tam mają oczekiwać albo końca wojny, albo wyników pertraktacy z rządem

polskim co do ich dalszego losu, zaś poddani austriacy zostaną zawagonowani i odtransportowani do „Isonzo-Armee“, do Udine.

Powiedział i pojechał.

A my zostaliśmy w nastroju, który trudno, bardzo trudno określić. Kotłuje w każdym, kłębią się myśli..

Każdy czuje: znów poczyną się nowy okres w twem życiu, znów wypływasz w burzliwe odmęty...

Straże znikły. Wolno pójść do wsi; barak nie jest strzeżony. Ino na lizierze wsi posterunek. Wydalać się z miejscowości nie wolno. Zresztą swoboda ruchów,

Co tam przyszłość! Na razie upajamy się tą odrobiną swobody. Chłopcy rozbiegli się. Przy obiedzie ich było kilkunastu, na kolacyi zaledwo kilku. Włączają się. Kąpią w rzece, spacerują w lesie, gwarzą w karczmie.

Dulfalva, 20 kwietnia.

A więc pojutrze. Dziś nadeszły rozkazy. Pojutrze stąd odchodzimy.

Wszystkich Królewaków z Huszt, Bustyahaza, Seklencze, Saldobosz, Dulfalva i innych obozów ściągnie się do Taraczköz.

Nasz transport odejdzie do Udine 23-go nad ranem.

Musimy się na wyjazd przygotować. Bagaż oficerski trzeba zdeponować, bo tam na froncie będzie ino zawadzał.

Wszyscy piszą. Na cały świat idą listy, pisma.

Dulfalva, 22 kwietnia.

Ostatni dzień przed wyjazdem do Włoch.

Wszystko popakowane. W nocy o godz. 3 ruszamy.

Pod wieczór ustawiliśmy się na tłoce. Rzędem wedle starszeństwa. Setka oficerów polskich, którzy od jutra są żołnierzami austriackimi. Każdy w polowym mundurze, w pasie z orłem polskim, w rękawiczkach.

Ostatni raport...

Już słońce za góry szło i cienie wieczorne snuć się poczynają, gdyśmy po raz ostatni przystąpili do funkcji wojskowej w mundurze polskim i przed zwierzchnikiem polskim.

Każdy to czuje i stąd skupienie, głęboka powaga.

Każdy stoi wyprężony, a ino serce mu kołacze w piersiach. Od strony baraku podchodzi pułkownik.

Przed nas występuje podpułkownik.

— Baczość!

I składa raport. Ostatni raport...

A potem głosem łzami zdławionym odczytuje adjutant ostatni Rozkaz Oficerski:

„Opuszczając ostatnie stanowisko, które nam wyznaczyła polska służba narodowa, schodzimy zeń na mocy rozkazów niezależnych od naszej woli, składając równocześnie to oficerskie ślubowanie, że ideałom i nakazom, które nas dotychczas obowiązywały, i nadal pozostaniemy bezwzględnie wierni.

Przed 3½ laty podnieśliśmy w Grodzie Podwawelskim sztandar niezależnego polskiego Czynu, rzucili hasło zbrojnej walki o niepodległość, całość Ojczyzny.

Sztandarowi temu pozostaliśmy wierni przez cały czas obecnej wojny, w każdej, choćby najcięższej potrzebie. Ta garstka niezłomnych rycerzy, którym Legiony Polskie na imię, nie ugięła się pod obuchem prześladowań ze strony obcej, nie zniszczała pod wpływem bezruchu i bezwoli własnego narodu.

Legiony Polskie przetrwały wszystkie przeciwności. Nawet i tę najcięższą, która jest wynikiem niezrozumienia i nieuszanowania przez własny naród idei, którą one reprezentowały. Szarpały organizmem Legionów wynikające stąd burze wewnętrzne i spory. Były one prostą konsekwencją niemożności zrealizowania tych haseł i programów, do których wypełnienia powołane były Legiony Polskie. Jest dziś więcej niż kiedykolwiek rzeczą pewną, że tak ze względu na swe wartości bojowe jak i ze względu na wewnętrzną wartość ideową, Legiony Polskie zorganizowane w r. 1914 na ziemi polskiego Piemontu — w Galicyi, nadawały się i nadają w pierwszym rządzie do objęcia roli kadr Wojska Polskiego.

Nie z naszej winy silna armia narodowa, owa jedyna ostoja pełnej niepodległości i siły polskiego państwa, pozostała dotychczas jeno marzeniem żoł-

nierzy, którzy za ten ideał krew przelewali — jak i na razie nieziszczalnym programem.

Cios, który państwa centralne wymierzyły Polsce w Brześciu Litewskim, był jedynym, który doprowadził do formalnego zniszczenia Legionów. Nie mogąc swej Ojczyźnie tak, jak tego chcieliśmy, służyć, skutecznie przez siłę pozytywną — złożyliśmy na Jej ołtarzu największą, jaką żołnierz może złożyć ofiarę, bo ofiarę z własnej wolności, z własnej broni i z ukochanego tak przez nas wszystkich polskiego munduru.

W tym momencie dla nas wszystkich przełomowym, w którym rozchodzić się zdają niestety nasze wspólne drogi, przypominam Wam, polscy oficerowie, te wszystkie zasadnicze walory, którymi zabłysnął polski żołnierz na tyłu placach bitew obecnej wojny, oraz tyłu placówkach narodowej pracy. Przedewszystkiem zaś przywodzę Wam w pamięć to ukochanie idei, ofiarny patriotyzm i wypróbowaną solidarność, jaka zawsze cechowała Legiony Polskie.

Nazwa Polskich Legionów przestała istnieć. Żywie jednak wśród nas ta idea nieśmiertelna, która stworzyła zawiązek Wojska Polskiego, która go ożywiała w ciągu 3¹/₂ letnich zmagania i która nas dalej, solidarnych w poczuciu słuszności spraw, poprowadzi w bój o święte i przyrodzone prawa narodu.

W ogniu wypadków wojennych zahartowani, solidarnością idei złączeni, wrócimy jeszcze do warstwu

pracy narodowej nad odbudową własnej państwowości. Być może, że zewnętrznie będziemy rozdzieleni; być może, że staniemy na odmiennych posterunkach; wszystkich nas jednak prowadzić będzie i dalej po wspólnej drodze walki ideał niepodległego państwa polskiego, opartego o własny, niezależny od postronnych wpływów rząd oraz o silną armię narodową.

W imieniu Służby Narodowej, żegnam obecnie Panów...

Na ziemi węgierskiej, którą oswobodziliście w r. 1914 od najazdu wroga, rozgrywa się ostatni akt tragedii legionowej. Przywołując na Waszą pamięć świetne rycerskie czyny Legionów, których początku świadkiem była właśnie ta ziemia węgierska, wzywam Was, byście w obecnej i przyszłej chwili nie poddawali się zwątpieniu, zawsze zaś i wszędzie zachowali się tak, jak tego od polskiego żołnierza i oficera wymaga polska godność i duma narodowa“.

W wagonie kolej. 23 kwietnia.

Nieprzenikliwa ciemność panowała, gdyśmy o 3 nad ranem ruszyli w drogę. W oddali szumiał Talabor, od Karpat szły poszumy drzew w wietrze; chłód wiosennej nocy przenikał do kości.

Idziemy szosą z Dulfalvy na stację kolejową w Bustyahaza.

Długo idziemy w milczeniu. Poczyna się rozwijać.

Wtem ktoś podjął pieśń:

„Wojenka, wojenka...”

I cała kolumna zawtórowała:

„...cóżes ty za pani,

Że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani...”

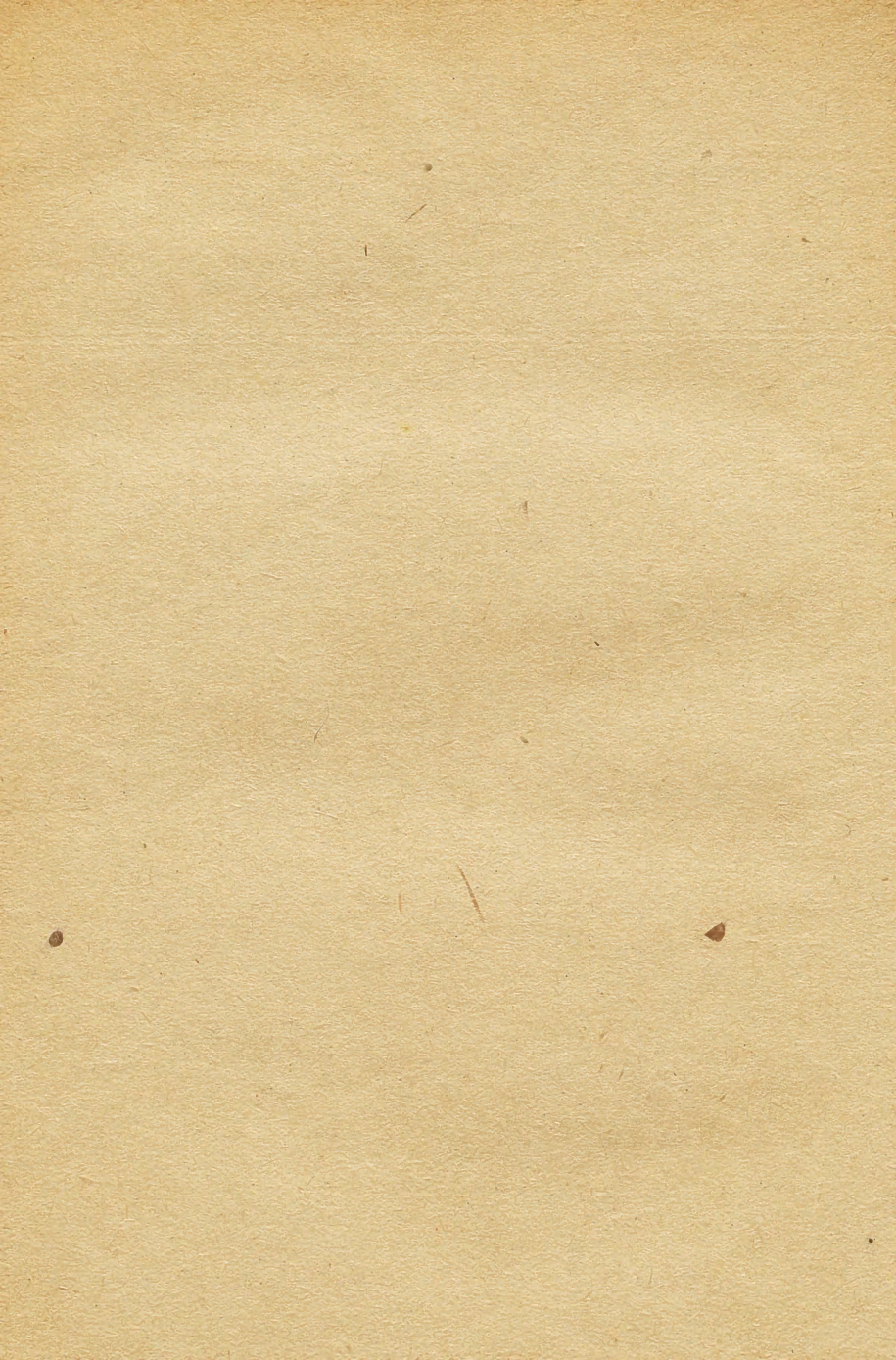
Idą „za wojną” z — ziemi polskiej, do włoskiej...

A kiedy, jak w pieśni, z powrotem?

I z kim? Czy wstanie w Polsce i dla Polski Dąbrowski?

Czy też znów losem polskiego żołnierza będzie: kryminał i zagranica, Dulfalva i Udine, przejście z nad Cisy nad Tagliamento...

B. M.



BIBLIOTECZKA POEZJI LEGIONOWYCH

CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

OBEJMUJE NIEZWYKLE WYTWORNIE WYDANE
TOMIKI UTWORÓW NAJWYBITNIEJSZYCH
POETÓW LEGIONOWYCH.

SĄ TO:

BERGEL RAJMUND: CZASY I LUDZIE.

MACZKA JÓZEF: STARYM SZLAKIEM.

ORKAN WŁADYSŁ.: PIEŚNI CZASU.

RELIDZYŃSKI JÓZ.: LAURY I CIERNIE.

RYCIER L.: WIEŚĆ O ARCHANIELE.

STARZEWSKI J.: WIERSE WOJENNE.

SZANTROCH T.: Z LUTNI ŻOŁNIERZA.

” ” W ZORZACH KRWI.

TESLAR A. J.: RYTMY WOJENNE.

TETMAJER KAZIMIERZ: CIEŃ.

ORAZ:

LESZCZYŃSKI E.: BALADY I PIEŚNI.

DO NABYCIA:

W BIURZE: KRAKÓW, GOŁĘBIA L. 20.
I WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

K A T A L O G I
SZCZEGÓŁOWE WYSYŁAMY NA ŻĄDANIE
DARMO.